NASZE ZIEMIE WSCHODNIE

DODATEK MIESIĘCZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Rok II. LIPIEC Nr. 9

RZUT OKA NA ZAGADNIENIA GOSPODARCZE ZIEM WSCHODNICH RZPLITEJ

Dla pełniejszego zrozumienia wielkiego kompleksu zagadnień Ziem Wschodnich Rzplitej w przeszłości i przyszłości trzeba koniecznie zdawać sobie możliwie dokładnie sprawę także z wiążących się z tymi obszarami problemów gospodarczych. Nie są one wcale tak proste, jak mogłoby się napozór wydawać, a niewątpliwie mają pierwszorzędne znaczenie dla kwestii losów politycznych tych ziem.

Dwie zasadnicze tezy można w tym względzie sformułować: 1) są to terytoria jako całość naogół biedne pod względem przyrodzonych warunków gospodarczych a zwłaszcza słabo dotychczas zagospodarowane i 2) mogą one mieć pomyślne widoki rozwoju przy stworzeniu i trwałym istnieniu pewnych sprzyjających rozwojowi warunków politycznych i organizacyjnych.

Niedorozwój gospodarczy naszych Ziem Wschodnich wynika nie tylko z ich przyrodzonej niezasobności w kopaliny, żyźniejsze gleby i t. p. Ta niezasobność nie jest zresztą całkowita. Obok olbrzymich bogactw leśnych, obok ropy naftowej, soli potasowych, granitu — na ziemiach tych są połacie bardzo żyznych gleb, produkujących spore nadwyżki płodów rolnych, istnieją uprawy lnu, tytoniu, chmielu i td. Niemniej są to obszary o trudnych warunkach gospodarczych. Na stanie gospodarczym tych terytoriów wycisnęły swoje ujemne piętno przede wszystkim stosunki polityczne. Nie trzeba zapominać, że cały wiek XIX, będący w Europie okresem wielkiego rozwoju gospodarczego, okresem rozrastania się miast i przemysłu, okresem silnej choć może chaotycznej ekspansji nowych przemysłowo-kapitalistycznych form życia gospodarczego, Ziemie Wschodnie wraz zresztą z całą Polską spędziły w warunkach jarzma zaborczego, które zarówno w ramach polityki rosyjskiej jak i austriackiej było niemal równoznaczne ze świadomym zacofywaniem gospodarczym ziem polskich, a szczególnie tych obszarów, które leżały z obu stron nad granicami rozbiorowymi. Nie tu jest miejsce na obszerniejsze wywodzenie tego niespornego zresztą twierdzenia: wystarczy przypomnieć choćby tylko uciążliwą i długotrwałą walkę działaczów gospodarczych t. zw. Galicki z centralistycznymi wiedeńskimi ośrodkami dyspozycji polityczno-gospodarczej o uprzemysłowienie Małopolski, o umożliwienie jej wyrwania się o osławionej „nędzy galicyjskiej". Wiedeń wyraźnie protegował industrializację obszarów czesko-morawskiego, styryjskiego, i innych, położonych bardziej centralnie, hamował zaś rozwój przemysłu w Małopolsce. Powstał tam wprawdzie przemysł naftowy, ale i tu gospodarka rabunkowa rychło miała obniżyć jego wydajność. Na obszarach t zw. ziem zabranych pod zaborem rosyjskim (za Bugiem i Niemnem) rządy carskie zwichnęły wszelką działalność inwestycyjną, oraz hamowały wszelkie próby i wysiłki rozwoju gospodarczego, które musiały prowadzić do utrwalania siły elementu polskiego na tych terenach i właśnie z tego powodu były dla zaborcy wysoce niepożądane. Efektami tych metod polityczno-gospodarczych, działających przez całe niemal sto lat, i to lat gdzieindziej niezwykle płodnych, owocnych i rozstrzygających o wyścigu gospodarczym narodów, było ogromne opóźnienie tempa rozwojowego Ziem Wschodnich, ich sterylizacja gospodarcza, ich zubożenie nawet w stosunku do osiągnięć polskich z okresu przedrozbiorowego. Powstał wprawdzie w tym stuleciu Białystok, ale właśnie powstał jako coś obcego, coś czego geneza leżała poza Ziemiami Wschodnimi. Rodzima myśl i rodzima praca gospodarcza na tych obszarach skazane zostały na zagładę: upadł Korzec, upadał tyzenhausenowski ośrodek pracy w Grodzieńszczyźnie, trawą zarastały Kanały Ogińskiego i Królewski, przemijała sława słuckich tkaczów i t. d. Na to miejsce carska Rosja budowała fortece, osadzała garnizony wojskowe, kultywowała pustkę, ten strategiczny pancerz ochronny bezpieczeństwa głębi imperium i warunek roz-

woju przemysłu w centralnych rejonach cesarstwa.

Nie podobna nie doceniać opłakanych skutków tej polityki państw zaborczych dla Ziem Wschodnich. Przerwała ona ciągłość pracy polskiej, pracy niewątpliwie twórczej, wiążącej te ziemie z prądami i doświadczeniami zachodnimi. Powstał dystans opóźniający, którego odrobienie stało się z biegiem czasu niezwykle trudne. I tutaj trzeba z kolei uwzględnić dalsze okoliczności natury ściśle obiektywnej, jakie działały już po odbudowie państwowości polskiej w sensie utrudniającym szerszą i szybszą aktywizację gospodarczą naszych Ziem Wschodnich. Było ich kilka: ogólne trudności gospodarcze okresu powojennego jak np. eliminowanie Polski z systemu odszkodowań i utrudnienie Polsce procesów odbudowy powojennej, zdławienie terenów nad granicą wschodnią przez martwą, głuchą „ścianę" autarkii sowieckiej, wreszcie przewlekły kryzys ekonomiczny lat 1930 — 1936, który zwichnął na całym świecie a także i w Polsce wszelką żywszą działalność inwestycyjną i zahamował procesy budzenia się w społeczeństwie żywszej inicjatywy gospodarczej. Nim te trudności zostały opanowane w tej mierze, iż mogły się już zacząć rysować pozytywniejsze i szerzej sięgające efekty polskiej pracy gospodarczej na Ziemiach Wschodnich, już na widnokręgu stanęło widmo nowej wojny, która znów zburzyła i zdeptała dorobek kulturalno-gospodarczy tych terenów. Dziś jest tam niemal tylko pustka: zniszczone i opustoszałe miasta, zanarchizowane rolnictwo, wykolejony handel, zaniedbane od pięciu lat wszelkie rozsądne inwestycje, zdestruowany całkowicie aparat kredytowo-pieniężny, skłócona ludność, zachwiany wszelki dogmat polityczno-gospodarczy wskutek ścierania się systemów ekonomicznych sowieckiego z polskim, później hitlerowskiego z sowieckim. Jednym słowem — ponowna ruina!

W bilansie tego wszystkiego Ziemie Wschodnie są obecnie pod względem gospodarczym problemem bardzo zawiłym, trudnym, wymagającym wielkiego i planowego zainteresowania, ogromnych wkładów kapitałowych, gruntownej znajomości stosunków lokalnych — mówiąc krótko: wymagającym solidnej, gruntownej pracy organizacyjnej i instrukcyjnej.

Kto pracę taką Ziemiom Wschodnim dać może? Kto jest w stanie stworzyć dla nich niezbędne warunki polityczno-gospodarcze, któreby zapewniły im rozwój ekonomiczny a więc dopływ kapitałów, dobór ludzi, rynek zbytu i rynek zaopatrzenia inwestycyjnego, szerokie związki ze światem, spokój i równowagę społeczną?

Teoretycznie mamy tutaj do czynienia z dwiema możliwościami: a) Związek sowiecki i b) Polska.

Co mogłaby dać tym obszarom Unia Sowiecka, to leży jasno jak na dłoni. Sowiety liczą zgórą 21 milionów kw. kilometrów przestrzeni, wobec czego obszar 185 tysięcy km. kw. Ziem Wschodnich jest drobnym płachciem ziemi dla tego kolosa. Struktura gospodarcza Ziem Wschodnich (ca 80% ludności zajętych w rolnictwie, bogactwa leśne, trochę ropy naftowej na Podkarpaciu) nie wnosiłaby nic nowego i pożądanego do gospodarczego organizmu sowieckiego: i ziemi uprawnej, i lasów, i ropy Sowiety mają pod dostatkiem. Natomiast bezsprzecznie dla Sowietów obszar ten miałby znaczenie wyłącznie jako przedpole strategiczne, co zresztą przebija niedwuznacznie ze wszelkich znanych nam wynurzeń politycznych Sowietów na tematy zmian terytorialnych na granicy sowiecko-polskiej. Wniosek z tego oczywisty: wszelki przemysł dyzlokowany wgłąb, ludność wywożona w ślad za przemysłem, komunikacja subordynowana względom strategicznym, garnizony, aparat szpiegowski, ośrodki propagandy i t. d. Do tego dodać jeszcze trzeba kolektywizację i wysysające działanie centralnej machiny biurokratyzmu bolszewickiego. Efekty oczywiste: postępująca dalej ruina, dewastacja, odsuwanie się od świata zewnętrznego, nieuchronna nędza i całkowity upadek gospodarczy. Te 185 tysięcy km. kw. przestrzeni i te ca 11 milionów ludzi, jacy tam żyli do września 1939 r., byłyby stracone dla świata.

Pozostaje do rozpatrzenia koncepcja związku z Polską, koncepcja, którą legitymują setki lat wspólnych dziejów, setki lat łącznej doli i niedoli, setki lat wzajemnego wspierania się i współżycia politycznego, społecznego i gospodarczego.

Polska dała już tym ziemiom w przeszłości bardzo wiele. Wystarczy wskazać, że w okresie XIV — XVIII stuleci, a więc bezsprzecznie pod wpływem Polski, powstało na ziemiach Wschodnich łącznie ponad 300 miast, z czego w dwuch tylko stuleciach XVII i XVIII ponad 120. Ciekawą będzie informacja, że gdy jeszcze za Kazimierza Wielkiego gęstość ludności na ówczesnych Wschodnich Ziemiach Polski wynosiła ca 0.6 na km. kw. i była dziesięciokrotnie niższa niż w pozostałej Polsce, to w okresie rozbiorów stosunek mas ludności Ziem Wschodnich i resztki Polski już zbliżał się do parytetu, co wskazuje jak szybko zaludniały się te obszary. Dopiero okres rozbiorowy wykoleił tę ewolucję ku wielkiej szkodzie Ziem Wschodnich.

Ziemie Wschodnie potrzebują Polski pod względem gospodarczym, a Polska ich potrzebuje. Dla Polski nie był to nigdy i nigdy nie będzie jedynie nadgraniczny pas terytorialny, mający znaczenie wyłącznie strategiczno-zabezpieczające. Dowodem tego może być choćby okoliczność, że w dziejowej przeszłości Polska po każdym najeździe nieprzyjacielskim, których tyle było na tych ziemiach, wracała na te obszary i z popiołów, rumowisk i cmentarzysk z uporem odbudowywała miasta, drogi, kościoły, życie gospodarcze i kulturalne. Tak gospodaruje tylko ten, kto widzi w danym obszarze najżywotniejszy swój interes, dla kogo jest on częścią integralną i życiowo konieczną.

Czy może być inaczej w przyszłości? Wołyń i Podole, jako obszary typowo rolnicze (w Tarnopolszczyźnie prawie 80% ziemi było pod uprawami, w woj. lwowskim ca 70%, na Wołyniu blisko 65%) potrzebują rynków zbytu dla swojej produkcji rolniczej: te rynki najbliższe, najściślej związane, najnaturalniejsze to właśnie centralna Polska z Warszawą, Łodzią, okręgiem przemysłowym Radomsko-Kieleckim, Śląskiem i t. d. Nafta podkarpacka ma zapewniony zbyt w Polsce i tylko Polska jest w stanie zapewnić temu przemysłowi tę opiekę i pomoc, jakie potrzebne mu są dla rozwoju w jego trudnych już dzisiaj warunkach naturalnych (wyczerpywanie się zasobów, głębokość wierceń, przeciętna mała rentowność szybów i t. d.). To samo jest ze lnem. Polska na swoich ziemiach północno-wschodnich miała poważne uprawy lnu (drugie miejsce w produkcji światowej — po Rosji); ale uprawie tej, aby nie prowadziła do zwyczajnego a mało wydajnego eksportu surowca, trzeba dodać dobrze zainwestowane możliwości przerobu w postaci przędzalni i tkalni oraz pojemny a zabezpieczony rynek zbytu. I te możliwości istnieć mogą dopiero w związku gospodarczym obszarów uprawy lnu z silniejszym organizmem finansowo-gospodarczym, jakim była i będzie Polska. Drzewne bogactwa naszych Ziem Wschodnich również zyskują na ścisłym Związku z Polską: jest ona i rynkiem pojemnym, i dobrym szlakiem eksportowym (Gdańsk), i silnym oparciem finansowym dla licznych gałęzi przemysłu oraz handlu, opartych na surowcu drzewnym. Nawet drobniejsze dziedziny wytwórstwa, ulokowane terytorialnie na Ziemiach Wschodnich, jak rybołóstwo słodkowodne, pszczelarstwo, sadownictwo, uprawa tytoniu, drobny rękodzielniczy przemysł wiejski i t. p — znajdowały i znajdować będą mogły nadal szerokie możliwości zbytu w Polsce.

Generalnym punktem wyjściowym tych rozważań jest niesporna zasada główna, że dla Polski obszary te są rzeczywiście terenem poważnych, życiowo uzasadnionych zainteresowań gospodarczych, a nie stanowiły nigdy i nigdy nie będą stanowiły obszarów jednostronnej eksploatacji. To nie hitlerowski „lebensraum", na którym tubylec ma pełnić rolę czysto służebną, a obcy przybysz rozpiera się i tuczy krzywdą niewolników; to nie obszar kolonialny, stanowiący obiekt eksploracji; dla Polski te Ziemie są żywą i równowartościową częścią całości społeczno-gospodarczej, w której życiu mogą brać i biorą coraz silniejszy udział nie tylko bogactwa naturalne i teren, ale także i ludność miejscowa, podnosząca się w swojej kulturze ekonomicznej.

Polska będzie musiała inwestować na Ziemiach Wschodnich, bo dla Polski jest to kwestią jej życia, jej aktywności polityczno-gospodarczej. Te procesy zapoczątkowane były już przed obecną wojną, choć utrudniał je kryzys a przerwała zawierucha wojenna. Zainteresowań polskich nie pochłoną i nie wyczerpią obszary zachodnie, na których kultura gospodarcza stała już dość wysoko: kapitały polskie będą szukały lokat na wschodnich obszarach, tworząc tam wartości społeczno-gospodarcze, które będą miały ogromne znaczenie dla ziem centralnych i zachodnich. Polska musi w tym względzie wystąpić z poważnie opracowanym, dalekosiężnym programem polityczno-gospodarczym, opartym na zasadzie współdziałania z miejscowymi ludźmi, doświadczeniami, potrzebami i bogactwami naturalnymi.

Nie będą to zadania łatwe, choćby ze względu na omówiony już powyżej dystans opóźnienia rozwojowego tych ziem w czasach zaborów. Ale właśnie dla tego zadania te wymagać będą aktywnego i szczerego opartego na doświadczeniu, zainteresowania losami tych obszarów i włożenia w nie ofiarnej a uczciwej pracy, ku czemu tylko Polska ma odpowiednie warunki.

W jednym z przemówień Churchilla znalazł się niedawno ustęp, który możnaby rozumieć tak, iż Polska może zaspokoić terytorialne żądania Sowietów t. zn. akceptować np. linię Curzona, albowiem może liczyć na kompensaty na zachodzie i północy. Premier Mikołajczyk słusznie odpowiedział na to (w wywiadzie dla „Manchester Guardian"), że tereny wschodnie Rzplitej nie mogą być obiektem takiego handlu politycznego. Mają one w związku państwowo-politycznym z Polską swoje właściwe i głębokie znaczenie: są żyjącą i mogącą się rozwijać częścią składową Europy, m. i. także i pod względem gospodarczym. Są one

wówczas żywotnym ogniwem tego systemu gospodarczego, który ma zbieżne linie celów i pokrewne metody pracy z Zachodem, z Anglosasami. Mogą one wówczas krzepnąć same, będą krzepiły Polskę i będą współżyły z wielkim światowym systemem polityczno-gospodarczym anglosaskim, jako czynnik żywotny, kierowany dojrzałą wolą ekonomiczną, wolny i bliski Zachodowi.

Ma to wielkie znaczenie nie tylko dla Polski, ale także i dla całego świata. Przy niełatwych procesach powojennej odbudowy ekonomicznej świata nie będzie pozbawiony znaczenia sposób gospodarowania także i na tych obszarach, które są sześciokrotnie większe od Belgii, dwukrotnie większe od Czechosłowacji, a których rozwój gospodarczy ma przed sobą bardzo rozległe możliwości, o ile stworzy się po temu odpowiednie warunki.

POLSKOŚĆ KRESÓW PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

KRAJOBRAZ ARCHITEKTONICZNY

Spójrzmy na nasze Kresy północno-wschodnie z lotu ptaka. Oto Wilno, Lida, Nowogródek, Krewo, Miedniki, Berezwecz, Smorgonie, Boruny, Oszmiana, Święciany — i wiele, wiele innych miast i miasteczek. Każde z nich w przemożnym, nieraz w całkowitym stopniu nosi niezatarte piętno kultury polskiej, zachodniej i łacińskiej. O Wilnie nie ma potrzeby mówić: wiemy wszyscy, że jest to miasto najpiękniejszego baroku w Polsce — ze swym arkadowym uniwersytetem, sięgającym czasów Batorego, ze swymi pałacami, starodawnymi domami i kościołami. Ale w najmniejszym nawet miasteczku kresowym przetrwały jakieś ślady budownictwa polskiego, przede wszystkim kościoły: owe wspaniałe, szesnasto i siedemnastowieczne kościoły jezuickie i bazyliańskie, wystrzelające wysoko ponad okolicę, widne zdaleka niby drogowskazy polskości — takie same jak w zachodniej, centralnej i południowej Polsce. Wiele z tych kościołów pozamieniał był rząd carski na cerkwie, przebudowując je i zniekształcając; nie było prawie miejscowości na Kresach, którejby od czasów Murawjewa-Wieszatiela nie dotknął ten wandalizm. Jednakże, mimo najgorliwsze wysiłki nie zdołano zniszczyć tych kamiennych pomników kultury polskiej.

Oprócz kościołów po kraju rozsiane są ruiny zamków, niemniej polskie i zachodnie w swych kształtach — także, jak w Trokach, w Krewie, w Miednikach... Pałace, dwory i dworki — owe „polskie dwory" modrzewiowe lub kolumienne w stylu stanisławowskim, typowe dla pracującej tu niegdyś kultury polsko-szlacheckiej identycznej z kulturą w Koronie, uzupełniające Krajobraz Kresów. Niektóre z nich są osobliwie upamiętnione w naszych dziejach, jak naprzykład słynny Pawłów (w okolicy Jaszun), niegdyś Mereczem zwany, bo nad Mereczanką leżący. Otrzymał on swoją nazwę od imienia właściciela — Pawła Brzostowskiego, referendarza W. X. Litewskiego, który go nabył w roku 1767 i stał się w nim pionierem polskiej idei demokratycznej, nadając całkowitą wolność swym chłopom i tworząc ze swego majątku wolną gminę, której nadano w historii chlubną nazwę „Rzeczypospolitej pawłowskiej". Jak się ta gmina rozwijała i jaki pod względem narodowym i kulturalnym wywarła wpływ na chłopów, świadczyła ich ofiarność w 1791 r. i 1794 r. Tak oto, jeszcze przed Konstytucją Trzeciego Maja i przed Uniwersałem Połanieckim Wileńczuk wysunął się na czoło bojowników sprawy włościańskiej w Polsce i pociągnął swym przykładem innych do naśladownictwa: ks. Jabłonowską, ks. Stanisława Poniatowskiego, nawet Staszica.

Krajobraz architektoniczny Kresów swymi cechami wyraźnie polskimi i zachodnimi odcina się ostro od krajobrazu, który się rozciąga za Dnieprem na północo-wschód od niego. Są to rzeczywiście dwa światy, obce i wrogie sobie, nie dające się ze sobą pogodzić. Tam leży Eurazja — „kraina pusta, biała i otwarta", jak powiedział poeta; kraina rozległych przestrzeni, nisko i szeroko rozbudowanych miast, o moskiewsko-bizantyjskiej architekturze, kraina innych ludzi, których wystające kości policzkowe i odmienne rysy twarzy budzą przykre uczucie obcości i niepokoju; kraina, wobec której wciąż należy trwać w stanie czujności i pogotowia, przed którą wciąż trzeba bronić swego wiekowego dorobku kulturalno-narodowego. Ta czujność zahartowała dusze mieszkańców kresów, nauczyła ich nieustępliwości i uporu, który się stał przysłowiowy w Polsce; uczyniła z kresowców — jak powiada poetka wileńska — wilków:

Jesteśmy tu na granicy
I na wschód pilnie patrzymy —
My, niby wilki kresowe,
Zaszyte w leśne ostępy...
Jesteśmy tu wysunięci,
Jak straż na wschodnim bastionie:

Wciąż się coś kłębi przed nami,
Wciąż jakaś łuna gdzieś płonie...

Głęboką prawdę historyczną zawiera ten prosty Wiersz. Wilno było i pozostaje zawsze bastionem Rzeczypospolitej Polskiej na północo-wschodzie, strażnicą tej kultury, narodowości i obyczaju a, mówiąc popularnym dziś językiem wojskowym, jej przyczółkiem o najdonioślejszym znaczeniu strategicznym, którego utrata równałaby się zagrożeniu jej całości i niepodległości. Pod tym względem znaczenie polityczne, narodowe i kulturalne Wilna da się zestawić tylko ze znaczeniem Lwowa, który na południu Polski pełni tę samą rolę, co Wilno na północy.

FAKTY HISTORYCZNE I NAZWISKA

Szereg wielkich aktów polityczno-prawnych, zawartych z dobrej i nieprzymuszonej woli przez dwa układające się narody: litewsko-ruski i polski — zespolił niegdyś nierozerwalnie Kresy z Polską. Od t. zw. Unii Krewskiej z 1385 r., po unię lubelską 1569 r. — w ciągu dwunastu lat — dawne W. X. Litewskie podkreślało wielokrotnie swą chęć przynależności do Polski. Jak żywa była ta chęć, dowodzi następujący, niezmiernie wymowny, ustęp z aktu unii horodelskiej r. 1413, podpisanego przez Władysława Jagiełłę oraz wszystkich kniaziów i bojarów litewsko-ruskich.

„Chociaż swego czasu... kiedy przyjęliśmy koronę Królestwa Polskiego... ziemie nasze litewskie... Królestwu naszemu Polskiemu przywłaszczyliśmy... to jednak, chcąc rzeczonym ziemiom Litwy zapewnić... lepszą opiekę... obecnie... jako prawowity ich pan, za wolą, zgodą i przyzwoleniem panów, szlachty i bojarów naszych, wymienionemu Królestwu Polskiemu po raz drugi, na nowo, przywłaszczamy je, łączymy, sprzymierzamy i na wieczną przynależność oddajemy, postanawiając, aby one wraz ze wszystkimi swymi państwami, księstwy, przełożeństwy, powiaty i posiadłościami... wielowładnie i nienaruszalnie z Koroną Królestwa Polskiego były złączone".

Na podstawie takich to aktów, którym napróżno szukalibyśmy przykładu w dziejach innych narodów, odbywał się dwuwiekowy, dobrowolny proces asymilacji Kresów. Jego wytworem był typ Polaka kresowego, co zwykł mawiać o sobie: „gente Ruthenus, natione Polonus"; jego następstwem był fakt, że „Litwa" przeobraziła się właściwie w pojęcie geograficzne, terytorialne — niby jedna z ziem składowych wspólnego wielkiego państwa i ojczyzny. W tym też sensie poczęto stopniowo używać wyrazu „Litwin" na oznaczenie — jak wówczas mówiono — „urodzeńca" czyli tuziemca, tubylca, krajowca — tak jak się mówiło Mazur czy Kujawianin, wyłącznie dla określenia pochodzenia nie zaś narodowości, podobnie jak się rzecz ma np. z Gaskończykiem czy Bretończykiem we Francji. Mickiewicz, wzywając: „Litwo, ojczyzna moja", w takich właśnie kategoriach myślał o Litwie, czego doskonałym potwierdzeniem może być cytat z „Ksiąg Pielgrzymstwa": „Litwin i Mazur bracia są, czyż kłócą się bracia o to, że jednemu na imię Władysław, drugiemu Witowt? Nazwisko ich jedno jest, nazwisko Polaków".

I rzeczywiście, żadna być może z prowincji polskich nie wydała tylu wybitnych i zasłużonych Polaków, co Kresy. Dosyć będzie prostego wyliczenia litanii ich nazwisk, ich, w których żyłach płynęła krew litewsko-ruska, aby się przekonać, jakim głębokim nurtem pulsowała tu od wieków polskość i aby stwierdzić, że bez tych ludzi historia i kultura polska pozbawione byłyby swej wielkości, a Kresy — sławy.

Oto dla przykładu kilkanaście nazwisk kresowców, którzy byli kość z kości i krew z krwi synami tamtych rodów: Lew Sapieha, Pacowie, Chodkiewicz, Reytan, Kościuszko, Kołłątaj, Niemcewicz, Naruszewicz, Mickiewicz, Zan, Moniuszko, Orzeszkowa, Traugutt, Tadeusz Korzon, Jan i Mieczysław Karłowicze, Witkiewicz, Emilia Plater, Worcell, Sierakowski, Ogiński, Syrokomla, Sienkiewicz, Narutowicz, Żeligowski Piłsudski, Marian Zdziechowski, Ferdynand Ruszczyc... Wyliczyliśmy te nazwiska przypadkowo, tak jak pod pióro przychodzą, a przecież to tylko drobna cząstka tych Polaków kresowych, którzy życiem, działaniem, czynem a częstokroć krwią swą dowiedli z nieprzepartą mocą, jak polska musi to być ziemia, skoro takich ludzi wydawała i wydaje.

Tak jest. Od czasów Witoldowych, przez wiele wieków, zrastały się Kresy z Polską i utworzyły z nią jedno ciało. Cały dorobek kulturalny Kresów jest polski. Zadomowiona tu niegdyś kultura polsko-bizantyjska, skostniała i nietwórcza, ustąpiła miejsca prężnej, ekspansywnej kulturze zachodniej, niesionej przez Polskę. Ten proces polonizacji byłego W. X. Litewskiego można by porównać tylko z procesem romanizacji Galii, kiedy to istniejąca tam swoista kultura gallijska **bez użycia gwałtu** przetapiała się w formy rzymskie. Byliśmy, jak słusznie stwierdził któryś historyk — a twierdzenie to nie jest przechwałką ani pięknym słówkiem — byliśmy Rzymianami Wschodu, tworząc na ziemiach litewsko-ruskich olbrzymią „polonosferę", która swą mocą promieniowała niegdyś daleko poza nasze Kresy, oddziaływując nawet — w pew-

nym okresie dziejów — na Moskwę i zwycięsko przeciwstawiając się nadciągającej od wschodu „mongolosferze".

Polskość naszych kresów jest niezbitym faktem historycznym, któremu zaprzeczyć nie zdołają ani żadna siła pięści ani też najbardziej przebiegle dobierane argumenty polityczne naszego wroga od wschodu.

1795 — 1921

Po upadku Rzeczypospolitej w 1795 r. nasze Kresy dokumentowały swoją polskość krwią swoją i bohaterstwem w czasach powstania listopadowego i styczniowego. Murawiew-Wieszatiel, obłąkany prześladowca polskości na Kresach, może być przez historię powołany właśnie na najlepszego jej świadka. Gwałty, represje, zsyłki, wygnania i szubienice rządów carskich po r. 1831 i 1863 nie potrafiły wytępić polskości Kresów. Przeciwnie, krążyła ona tak żywo i głęboko pod wewnętrznym pokostem rusyfikacji, że wystarczyło lekkiego powiewu liberalizmu w r. 1905, aby się objawiła w całej pełni: oto do pierwszej i drugiej „dumy państwowej" 100% mandatów z Wileńszczyzny uzyskali Polacy; oto natychmiast następuje wznowienie wydawnictwa „Kurier Litewski"; oto powstaje w Wilnie teatr polski (gdzie na tle inscenizacji Ruszczyca święci triumfy Modrzejewska i stawia pierwsze kroki Juliusz Osterwa); oto dzięki niezwykłej ofiarności publicznej założone zostaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które w ciągu kilku lat dochodzi do posiadania własnego gmachu i ogromnej biblioteki; oto rozwija swoja działalność Józef Montwiłł (1850 — 1911), wielki filantrop i działacz społeczny, który sam jeden tworzy w Wilnie kilkadziesiąt instytucji o charakterze dobroczynnym, oświatowym i kulturalnym — między innymi tak doniosłe jak Szkoła Rysunkowa, Bazar Rzemieślniczy i Towarzystwo „Lutnia", z którego po tym wyłoni się drugi teatr polski w Wilnie.

Odradzające się narodowo Kresy wchodzą w r. 1914 w wojnę europejską i razem z całą Polską oczekują od niej swego wyzwolenia. Rok 1918, gdy na Kresach organizuje się „samoobrona wileńska", staczająca bohaterskie walki z bolszewikami; rok 1919, gdy syn Kresów — Józef Piłsudski — wjeżdża triumfalnie do odzyskanego Wilna; rok 1920 o 1921 — okres Litwy Środkowej i plebiscytu, który jednogłośnie włącza Wileńszczyznę do macierzy — wszystkie te fakty wciąż potwierdzają niewygasłą tu ani na chwilę polskość. Wreszcie uchwała Rady Ambasadorów z 1923 r. legalizuje przynależność państwową Wileńszczyzny do Polski, w następstwie czego zostaje ona uznana przez wszystkie państwa światowe. Od tej chwili, już i na mocy prawa międzynarodowego ziemia ta powraca do Polski jako jej własność.

WYSIŁEK POLSKI I STATYSTYKA LITEWSKA

Dwudziestoletni prawie związek Wileńszczyzny z odbudowaną Rzecząpospolitą — to olbrzymi wysiłek, zmierzający do zagospodarowania jej i zatarcia śladów niewoli. Kto widział Wileńszczyznę w 1919 r. i w 1939, ten mógł się naocznie przekonać, jak owocne postępy we wszystkich dziedzinach życia dokonane tu zostały, jaką bujnością rozkwitła tu tłumiona długo kultura polska. Dwudziestoletnia historia niepodległości Wileńszczyzny wymagałaby osobnego opracowania, przekraczającego daleko ramy krótkiego artykułu. Zadowolniliśmy się w tym miejscu stwierdzeniem faktu, że ludność Wilna, licząca 180 tysięcy, w 70% składa się z Polaków, a wśród 30% mniejszości narodowych dużą część stanowią Litwini — nie tubylcy, lecz importowani specjalnie podczas wojny z Litwy Kowieńskiej. Polskość Wilna i Kresów północno-wschodnich raz jeszcze manifestuje się tym sposobem wspaniale w okolicznościach politycznych, jaknajmniej jej sprzyjających.

DZIEŃ GŁUCHEJ ROZPACZY

Poniżej przytaczamy ogłoszone już swego czasu drukiem wspomnienia jednego z uczestników prac Komisji Delimitacyjnej, dziś już nie żyjącego, jako charakterystyczne dla nastrojów ludności wschodnich obszarów Polski.

Konferencja pokojowa w Rydze, mająca położyć kres wojnie polsko-bolszewickiej 1919 — 20 roku, wzbudzała przez cały czas swego trwania powszechne, żywe zainteresowanie. Skąpe wiadomości o przebiegu rokowań podane do wiadomości ogółu przez prasę, a bardziej jeszcze rozmyślne czy mimowolne niedyskrecje, przenikające do społeczeństwa przeróżnymi drogami, animowały ogół i były gorąco komentowane i dyskutowane. W tym żywym, powszechnym zainteresowaniu przebiegiem konferencji na równi ze społeczeństwem polskim brała udział i ludność ziem, której przyszłość przesądzić miał przygotowywany traktat. Na wschód od Bugu we wszystkich większych skupieniach ludzkich widoczne było podniecenie i niepokój. Uderzało to szczegól-

nie silnie wzdłuż rozejmowego pasa delimitacyjnego, gdzie we wszystkich miasteczkach gromadziły się co dnia dziesiątki i setki ludzi przybyłych zza kordonu dla zaczerpnięcia wiadomości o przebiegu rokowań i o swym przyszłym losie. Liczne delegacje ludności z obu stron pasa rozjemczego, złożone z przedstawicieli różnych klas, wyznań i narodowości, ciągnęły ku większym ośrodkom administracyjnym a przede wszystkim ku Warszawie, by polskim czynnikom miarodajnym wyrazić wolę ludności znalezienia się w granicach Państwa Polskiego oraz by skłonić rząd polski do stawiania Sowietom maksymalnych żądań terytorialnych. Delegacje takie odwiedzały też nieustannie wszystkie polskie dowództwa wojskowe konsystujące wzdłuż linii demarkacyjnej. A brali udział w tej samorodnej akcji zarówno Polacy, jak i Rusini: chłopi, robotnicy, mieszczanie, miejscowa półinteligencja, przedstawiciele wolnych zawodów, czasem nawet Żydzi.

Zainteresowanie konferencją pokojową i na tym tle powstały niepokój ludności ziem zabużańskich wzrastały w miarę posuwania się pertraktacyj. Do kulminacyjnego punktu doszło podniecenie w drugiej połowie lutego i w marcu 1921 r., tj. na kilka tygodni przed ostatecznym ustaleniem klauzul traktatowych. Wreszcie 18.III. traktat został podpisany. Wiadomość o tym i o jego zasadniczych postanowieniach doszła do powszechnej wiadomości w Warszawie nazajutrz. Tegoż dnia wyjeżdżałem z Warszawy, by zawieźć nadeszłą wiadomość do kilku ośrodków pogranicznych. Jechałem z uczuciem radosnym i pełnym boleści zarazem, zdając sobie sprawę z tego, jak biegunowo różne wrażenia wywołają postanowienia traktatu na ludności wschodnich obszarów Polski w zależności od losu, jaki jej traktat gotował. Niebawem miałem skonstatować to naocznie.

Na stacji w Baranowiczach spotkałem liczną delegację ludności przybyłą z Mińska Litewskiego a udającą się ze swymi petitami do Warszawy. Delegacja była liczna, liczyła kilkadziesiąt osób, przeważnie chłopów białoruskich. Był wśród nich szereg osób, znanych mi już uprzednio. Między innymi dość liczna grupa lewych eserów białoruskich, którzy zimą r. 1919 na 1920 — gdy wojska polskie walczyły nad Berezyną — a potem w czasie odwrotu zajmowali postawę wręcz wrogą wobec Polski i prowadzili zdecydowanie przeciwpolską działalność. Na czele tej grupy w gronie delegacji stało kilku studentów moskiewskiego uniwersytetu. Zbliżyłem się więc do nich i zapytałem, coby tu robili. Odpowiedzieli, że wraz z całą delegacją jadą do Warszawy dla podjęcia starań u rządu polskiego, aby Mińszczyzna w całości objęta została granicami Polski. Wyraziłem na to zdziwienie, zaznaczając, że przecież przed kilku jeszcze miesiącami tak wrogo wobec Polski byli ustosunkowani. Odrzekli mi na to długimi wymowami, iż nie sądzili, aby stosunki sowieckie były nadal tak bezwzględne i tak okrutne, że wierzyli w zapewnienia sowieckie o wolności narodów wchodzących w skład ZSRR, że krótka okupacja sowiecka przekonała ich, iż po tamtej stronie nie ma mowy o wolności narodu białoruskiego. Nie mając zaś szans wyzwolenia Białejrusi, doszli do wniosku, iż łatwiej będzie utrzymać ducha narodowego wśród ludności białoruskiej w Polsce niż w Rosji sowieckiej.

Gdym z kolei zakomunikował całej delegacji o podpisaniu traktatu i jego postanowieniach terytorialnych — wedle których Mińszczyzna przypadła Rosji — zaległa głucha cisza. Lecz już po chwili odezwały się głosy powątpiewania, czy wiadomości przezemnie udzielone są ścisłe, czy nie są podane po to, by wprowadzić ich w błąd, czy nie jestem wrogim agentem. Odezwały się też głosy, by nie zważając na nie jechać do Warszawy i tam przekonać się na miejscu o stanie rzeczy a ewentualnie zaradzić nieszczęściu, jeśli tylko się da. Tak też postąpili, a ja udałem się w dalszą drogę do jednego z pogranicznych miasteczek.

Tu zastałem znaczną ciżbę ludzi — wielu z okolic, wielu też zpoza kordonu. Ożywienie było wielkie, niepokój znaczny. Już słyszeli coś niecoś o podpisaniu traktatu i o jego niektórych postanowieniach, ale wiadomości te uważali za niepewne i bałamutne. Dopominali się o bliższe dane, oczekiwali słów pocieszających. Na propozycję miejscowego burmistrza zgodziłem się na odbycie zebrania informacyjnego w gmachu Zarządu Miejskiego. Zebrało się powyżej 200 osób; nie mieścili się w największej sali przeznaczonej na zebrania; zajęli przyległe korytarze i pokoje, gromadzili się małymi grupami przed budynkiem Zarządu Miejskiego.

W możliwie zwięzłych słowach i oględnie wyłożyłem stan rzeczy. Grzmot protestów i okrzyków buntu rozległ się w odpowiedzi. Nie chcieli wierzyć, powoływali się na swą wolę przynależności do Polski, na jej ostateczne zwycięstwo, które pozwalało jej decydować o granicach swych. W miarę zapamiętywania się w swej krzywdzie i w doznanym zawodzie wytrysły przekleństwa, zrazu tamowane, oddzielne, niebawem jednak powszechne i jak fala niepowstrzymane, by nagle załamać się w szloch powszechny i zawodzenie ludzi opuszczonych, złamanych. Z ciężkim sercem, długo i cierpliwie

ugadywałem się z poszczególnymi grupami, by je nieco uspokoić i doprowadzić do niejakiego opanowania. Był to najcięższy dzień w mym życiu i w życiu tych ludzi, których miałem przed sobą. Dzień głuchej rozpaczy.

Następnych dni przybywały nowe fale zza kordonu, nowe z nimi wybuchy protestów, złorzeczeń i łez. Lecz w miarę, jak dni mijały, jak coraz mniejsze grupy zgłaszały się po wiadomości, jak przybywali uprzedzeni i bliżej poinformowani, rozmowy stawały się spokojniejsze i bardziej opanowane. Przybywali, by się niejako pożegnać ze swymi, nim wejdą na nowe tory życia. Ale jednocześnie rozmowy stawały się bardziej obce, wyrozumowane, dalekie. Nie byliśmy dla siebie nawzajem już tym, czym byliśmy dotąd. Wyrastała między nami zimna, niewidzialna — granica. Było to dla mnie, a przypuszczam, że i dla nich, przykre i bolesne; bardziej bolesne niż wybuchy przekleństw i złorzeczeń. Jedno wszakże imponować musiało w postawie tych ludzi. Zdecydowana ich postawa życiowa, postawa wyrażająca się w jednym słowie: wytrwamy!

ZJAZD ZWIĄZKU ZIEM PÓŁNOCNO WSCHODNICH W SZKOCJI

W piśmie „Wieści Polskie", wychodzącym w Anglii, ukazało się sprawozdanie ze Zjazdu Związku Ziem Północno-Wschodnich w Szkocji, które wskazuje na żywe zainteresowanie polskiej emigracji zagadnieniem Ziem Wschodnich. Przytaczamy jego treść:

W końcu ubiegłego roku w Edynburgu odbył się walny zjazd Związku Ziem Północno-Wschodnich, w którym zgrupowali się kresowcy, pragnący zamanifestować solidarnie troskę o los ziem kresowych, którą dzielą z nimi wszyscy Polacy.

Zjazdowi przewodniczył prezes Koła Związku w Edynburgu Dr. Zdzisław Malkiewicz. Do prezydium powołano b. ministra skarbu p. Jana Piłsudskiego i kpt. Wańkowicza oraz szereg innych osobistości, wśród których znajdował się obywatel amerykański p. Trzciński, lotnik pełniący służbę w Armii Polskiej w stopniu sierżanta.

Uchwalono pozdrowienia dla Kraju oraz rezolucje polityczne w sprawie sytuacji Polski, w sprawie obywateli polskich, zatrzymanych w Rosji sowieckiej i w sprawie losu mieszkańców całego Kraju.

Przedstawicielka społeczeństwa angielskiego lady Anstruther wygłosiła żarliwe przemówienie, w którym oświadczyła, że sprawa Polski jest probierzem moralności Narodów Sprzymierzonych. Opinia brytyjska, wrażliwa na prawdę, którą starają się zaćmić żywioły wrogie zachodniej cywilizacji, nie została dotąd uświadomiona ostatecznie. Wkład Polski do teraźniejszej wojny jest olbrzymi, lecz integralność jej terytorium nie może być traktowana jako nagroda za zasługi Polaków. Podobne ujęcie byłoby krzywdzące dla Narodu Polskiego, posiadającego pełne prawo do swoich ziem. Motyw sprawiedliwości przemawia wystarczająco w tym wypadku.

Z trybuny prezydium przemawiał lotnik Trzciński, podkreślając stanowisko obywateil amerykańskich polskiego pochodzenia w sprawie polskiej oraz wagę ich głosów wobec zbliżających się w Stanach Zjednoczonych wyborów. W niewielkim ośrodku w okolicach Chicago Polacy z uzbieranych składek zakupili niedawno dla lotnictwa amerykańskiego 6 bombowców, które nazwali imionami wielkich mężów polskich. Ostatnio nabyty samolot nazywa się Wilno... Miłość Polaków amerykańskich do ziem kresowych przejawia się namiętnie. Pan Trzciński kończy, wzywając Opatrzność, aby chroniła nasz Kraj przed „wolnością" niesioną nam przez wojska obce...

W dalszym ciągu zebrania omawiano akcję propagandową, prowadzoną przez Związek na terenie krajów anglosaskich, w obronie integralności granic Polski. Na prezesa Rady wybrano prof. Władysława Wielhorskiego, na prezesa Zarządu p. Józefa Godlewskiego.

TRAGEDIA PODKAMIENIA

Dotarła do nas obecnie relacja naocznego świadka potwornej rzezi ludności polskiej, dokonanej w Podkamieniu przez bandytów ukraińskich przy czynnym współudziale Niemców. Tragedia Podkamienia jest tak jaskrawą, tak typową dla metod, jakimi posługują się bandy ukraińskie a przy tym współudział Niemców występował tam tak niewątpliwie, że przytaczamy dość obszerną relację naocznego świadka niemal

dosłownie, mimo, że zbrodnia popełniona została już stosunkowo dawno, bo w marcu b. r.

Mniej więcej od końca stycznia 1944 r. w klasztorze OO. Dominikanów w Podkamieniu (nieduże miasteczko w pow. brodzkim w Małopolsce Wschodniej) zaczęli się skupiać Polacy z okolicznych wsi i z Wołynia, uchodzący przed rzeziami, dokonywanymi przez bandy ukraińskie. Ogółem znajdowało się w klasztorze przeszło 100 osób. w tym kilku miejscowych braci Dominikanów i 1 ksiądz, uchodźca z Wołynia. Szczególnie od napadu band ukraińskich na niedaleko położoną polską wieś Suchowola, skąd sporo uchodźców znalazło się w Podkamieniu, Polacy zgrupowani w klasztorze żyli w ciągłej obawie przed napadem band na klasztor, mimo, że miejscowy kierownik gminy zbiorowej, Ukrainiec wciąż zapewniał, że Polakom w Podkamieniu nic nie grozi.

W ostatnich dniach lutego w Podkamieniu zakwaterował oddział ukraińskiej SS-Schützendivision-Galizien, pozostający pod dowództwem oficerów niemieckich Oddział ten i jego dowódcy, nie próbując nawet podejmować żadnej akcji przeciwko sowieckim oddziałom dywersyjnym, jakie ukazywały się wówczas na terenie powiatów, graniczących z Wołyniem — zainteresowali się natomiast żywo ludnością polską, szukającą schronienia w klasztorze. W ciągu niespełna dwu tygodni ukraińscy SS-owcy aż dwukrotnie przeprowadzili w brutalny sposób rewizję w klasztorze w poszukiwaniu za bronią. W rzeczywistości w klasztorze znajdowało się kilkanaście karabinów oraz trochę amunicji, o czym niemiecka komenda miasteczka zresztą wiedziała i co tolerowała. W rezultacie oddano Ukraińcom kilka karabinów, resztę zaś — jako jedyny ratunek na wypadek wciąż spodziewanego napadu band — udało się ocalić.

W piątek dnia 10 marca r. b. ze wsi Borażyn przyjechała do ukraińskich SS-owców delegacja ukraińskich band z lasów (U. P. A). Delegaci byli również na przyjęciu u Niemców. Należy sądzić że wtedy wszystko uplanowali, aby w czasie napadu zniszczyć ludność polską w Podkamieniu.

W sobotę dnia 11 marca b. r. oddział SS-Dywizji ukraińskiej wyjechał z Podkamienia do Brodów. Tego samego dnia popołudniu około godziny 5-ej od strony wsi Czernica zameldowano w klasztorze pojawienie się dużej grupy bandytów ukraińskich. Szli grupami, razem było ich około 100 ludzi uzbrojonych, ubranych różnie, przeważnie po cywilnemu. Kiedy Ukraińcy zbliżyli się do klasztoru, zażądali, żeby ich wpuścić. Mówili, że są kombatantami niemieckimi i na tej podstawie domagali się w klasztorze kwater dla siebie. OO. Dominikanie odmówili. Zdarzyło się zaś tak, że przed nadejściem ukraińskiego oddziału wybrało się z klasztoru do miasteczka dwu ludzi, jeden O. Dominikanin oraz inż. Sołtysik z leśnictwa w Podkamieniu. Tych dwuch banda ukraińska schwytała w mieście i wraz z tymi „jeńcami" szła pod klasztor, domagając się wpuszczenia do wnętrza. OO. nie wpuścili nikogo, nawet obu „jeńców". Widząc, że się w taki sposób do klasztoru nie dostaną, Ukraińcy poprosili o prowiant, a więc o chleb, słoninę itp. Jedzenie zrzucono na dół z okien klasztoru. W jakiś czas po tym ukraiński oddział zwolnił obu „jeńców" i Ukraińcy zajęli niedaleko stojący budyneczek organistówki, dokoła zaś klasztoru wystawili warty. Do nikogo wtedy jeszcze nie strzelali. Zapewniali ludność polską, że idą spokojnie i że nikomu nic złego się nie stanie. Tak przeszła noc z soboty na niedzielę. W sobotę wieczór przyjechał do Podkamienia sztab bandy ukraińskiej ze wsi Boratyń.

W niedzielę dnia 12.III.1944 już od samego rana Ukraińcy nikogo z ludzi, znajdujących się w klasztorze, nie wypuszczali poza obręb murów. Kto zaś chciał się przekraść, do tego strzelali. Wypadków zabicia jeszcze nie było. Dopiero gdzieś od godziny 8 rano zaczęli już strzelać do klasztoru. Strzelali z karabinów maszynowych ciężkich i lżejszych, ale szkody były niewielkie. Zginął tylko jeden chłopiec i to raczej wskutek własnej nieostrożności. Taka strzelanina trwała do południa.

Nawiasem trzeba dodać, że w niedzielę rano z Brodów przyjechała do Podkamienia ekspedycja karna, uzbrojona w armaty, i udała się na pacyfikację polskiej wsi Polikrowy. W południe Niemcy wracali po zniszczeniu Polikrowów do Podkamienia. Około godz. 13-ej z miasteczka Podkamienia nadbiegł do klasztoru posłaniec od kapitana, który był z Niemcami w Polikrowach, z wezwaniem do bezwarunkowego opuszczenia klasztoru przez ludność polską, grożąc bombardowaniem z armat. Ludność polska w obawie bombardowania zaczęła uciekać z klasztoru, otoczonego bądź co bądź obronnymi murami. Na ten moment tylko czekali ukraińscy partyzanci i z poza węgłów domów i zakamarków zaczęli strzelać do uciekających. Sami Niemcy nie strzelali. Część oddziałów ukraińskich weszła w obręb murów i zaczęła mordować tych, co nie zdążyli uciec, inne oddziały ukraińskie rozbiegły się po miasteczku i chodziły po domach polskich, żądając „ausweisu". Kto w ausweisie miał napisane, że

jest Polakiem, tego zabijali. Ukraińscy partyzanci chodzili po domach w towarzystwie Niemców. Kto z napadniętych potrafił się wykazać, że nie jest Polakiem, był uratowany.

W niedzielę wieczorem i w ciągu nocy panował spokój.

W poniedziałek dnia 13 marca zaraz z rana Niemcy sprowadzili do Podkamienia około 200 furmanek oraz sprowadzili dużo aut ciężarowych. Wtedy też zaczął się rabunek na wielką skalę. Klasztor nasz obrabowano doszczętnie, podobnie kościół. W miasteczku rabowano również, słychać było krzyki. Po czym, upojeni łatwym zwycięstwem nad Polakami, Ukraińcy spacerowali po mieście. Jednak przez poniedziałek nie mordowali. Ukraińcy po mieście porozstawiali warty. Rabunek zaś trwał przez cały poniedziałek i wtorek (14 marca). Zrabowane mienie: odzież, obuwie, środki żywnościowe i t. p. wywożono furmankami i autami w kierunku Brodów. Niemcy pozostawali również przez poniedziałek w Podkamieniu.

We wtorek, dnia 14 marca, gmina zbiorowa w Podkamieniu nakazała zbierać zwłoki ofiar, jakie walały się do drogach, zagrodach, ogrodach i chatach. Z klasztoru nie kazali jeszcze nic wywozić, ponieważ trwał w dalszym ciągu rabunek. Tego samego dnia Ukraińcy zaczęli znowu mordować ludność polską: przeważnie strzelali do Polaków, ale używali też siekier i bagnetów. Jedna dziewczynka zabita miała na ciele dziesięć pchnięć bagnetem. Po południu pogrom ludności polskiej trwał w dalszym ciągu.

W środę, 15.III., ukraińscy partyzanci jeszcze chodzili po domach i gospodarstwach, szukając Polaków. Ludzi jednak w mieście prawie że nie było. Już od niedzieli pouciekali i poukrywali się w lasach. Chaty i domy stały wyludnione i pozamykane.

Wieczorem tego dnia wyjechał z Podkamienia ukraiński sztab do wsi Boratyń, gdzie — jak wiadomo — w ostatnich tygodniach przebywał. Przedtem siedział we wsi Czernica. Sztab zabrał ze sobą własny szpital i dwu swoich lekarzy, zabitych nie było. Ludzie z klasztoru bronili się, nikt nie chciał dać się wziąć żywcem. Panika jednak ogarnęła wszystkich, nie było kierownictwa ani też porządku. Wszyscy uciekali naoślep, stąd ofiar po stronie ukraińskiej prawie że nie było.

W czwartek, 16.III., z rana w miasteczku było cicho. Ukraińskich partyzantów nie było widać. Ludność polska powoli zaczęła wychodzić z kryjówek i schodzić się do klasztoru. Tam, w kałużach zakrzepłej krwi, leżały zwłoki pomordowanych ofiar. Pełno było trupów po celach, na korytarzach i w piwnicach. Znaleziono zwłoki księdza świeckiego, uchodźcy z Poczajowa oraz zwłoki trzech braci zakonnych. Kiedy ludzie zaczęli krzątać się koło usuwania zwłok z klasztoru, nagle zjawili się Ukraińcy i dali około 15 strzałów. Ludzie poczęli w popłochu uciekać i kryć się, gdzie kto mógł.

Pod wieczór do Podkamienia zjechały dwa auta z Niemcami pod pretekstem, że niby w okolicy Podkamienia mieli pojawić się bolszewicy. Niemcy rozstawili od strony lasu warty.

Piątek, 17.III. Na poczcie była już komenda niemiecka. Zaczęto mówić, że koło Podkamienia będą robić front.

Suche słowa sprawozdania człowieka, który sam przeżył całą okropność tych tragicznych dni w Podkamieniu nie wymagają komentarzy. Z każdego zdania — nawet bez żadnych dodatków i uzupełnień literackich — bije groza. Bandy ukraińskie w sposób całkowicie jawny przez całe 5 dni grasowały w miasteczku, mordując, rabując i pastwiąc się nad ludnością polską a Niemcy nie tylko nie podjęli żadnych kroków, aby zbrodni przeciwdziałać, lecz z całym cynizmem i otwartością stworzyli warunki, umożliwiające jej wykonanie a potym czynnie z Ukraińcami współdziałali.

PROPAGANDA SOWIECKA NA OBSZARZE DRUGIEJ OKUPACJI SOWIECKIEJ

Zaledwie został sforsowany Dniepr, już propaganda sowiecka podjęła swoją zaborczą ofensywę w kierunku Ziem Rzeczypospolitej. Najwyższa Rada U. S. R., Radnarkom U. S. S. R. i Centralny Komitet KP/b/U wydały wówczas dwie odezwy do „narodu Ukrainy", zapowiadające wkrótce rozwinięcie czerwonego sztandaru nad Lwowem i Drohobyczem i „uwolnienie" całej Ukrainy oraz wzywające do współdziałania z armią czerwoną. Frazesy o stalinowskiej „przyjaźni narodów", gloryfikacje bolszewizmu i jego wodza wypełniają ich treść. Po wkroczeniu na ziemie polskie Dowództwo Czerwonej Armii wydało w języku ukraińskim parę podobnej treści odezw.

Obecnie na powtórnie w czasie tej wojny okupowanych przez wojska bolszewickie terytoriach Wołynia i Małopolski Wschodniej ukazały się już pierwsze periodyczne publi-

kacje w języku polskim. Są to: „Nowiny Dnia" i „Partyzant", wydawane przez „Ruch Partyzancki zachodnich obszarów Ukrainy". Ukazało się też kilka ulotek pisanych po polsku.

Po przez niechlujną formę i ordynarny styl wieje z tych wydawnictw jakieś ohydne tchnienie wschodu: prostactwo, nieuctwo i brutalność, fałsz, chytrość i cynizm, jakaś pierwotna dzika nienawiść do polskości, do tego, co nosi piętno wyższej kultury, co jest — Zachodem, a wreszcie bałwochwalczy kult Stalina, tego „wielkiego", „genialnego", tego „wodza i nauczyciela", miłującego całym sercem wszystkie narody, szczególnie słowiańskie. Moskiewsko-bizantyjskie „carosławie" przemawia tu pełnym głosem, jak za najlepszych czasów Groźnego, Piotra czy Katarzyny, tylko że przedmiotem tego jest Stalin.

Przechodzimy do porządku nad treścią wypełniających te pisma artykułów, ich bowiem poziom myślowy i arogancki sposób wysłowienia nie zasługują na bliższe rozpatrzenie. Warto jednak podnieść dwie kwestie, które ze względu na swój polityczny charakter zwracają naszą uwagę.

W obu tych pismach uderza przede wszystkim zasadniczo negatywny, wrogi i napastliwy wprost ton ataków na polskie czynniki kierownicze na emigracji i w kraju. Wśród powodzi niewybrednych wyzwisk i fałszów zarzuca się np. Rządowi Polskiemu, że „żąda zwrotu imperialistom polskim zagrabionych przez nich ziem Ukrainy i Białejrusi", że członkowie tego Rządu nigdy nie mieli nic wspólnego z demokracją „lub ją zdradzili"", że ci „reakcjoniści polscy chcą zahamować walkę z hitleryzmem", że są wprost „zausznikami Hitlera" i t. p. Dłuższe tego rodzaju wywody zamyka twierdzenie, że Rząd Rzeczypospolitej jest zupełnie oderwany od narodu polskiego, że poczynań polityków z Londynu nikt nie popiera oprócz bandy faszystowskich agitatorów i otumanionych przez nich prostaczków. Organizacje wreszcie Polski Podziemnej — co musimy podkreślić — wydawnictwa te uważają wprost za „nielegalne". Szczególne ostrze tych pełnych perfidii wymysłów — co również zasługuje na uwagę — propaganda sowiecka zwraca przeciwko osobom Naczelnego Wodza i gen. Andersa, z radością witając i wychwalając stworzenie nowej „prawdziwej" armii polskiej na Ziemiach Związku Radzieckiego.

Drugim tego rodzaju zagadnieniem, jakie rozwijają „Nowiny Dnia", jest panslawizm, idea „wspólności słowian", oczywiście pod przewodnictwem Rosji. Armia Czerwona pod wodzą Stalina stwarza warunki ich wyzwolenia. Na czele tych Słowian „stoją bracia Czesi, Słowacy i Zakarpaccy Ukraińcy". „Sojusz narodów słowiańskich — przytaczamy dosłownie — będzie w przyszłości jednym z filarów pokoju w Europie obok sojuszu Anglii, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego".

Warto tu wreszcie zaznaczyć, że pisma te głoszą potępienie mordów, popełnianych na Polakach przez bandy ukraińskie. W potępieniu tym jednak wyraźnie daje się wyczuć nie troska o los Polaków, nie oburzenie na ohydę dokonywanych zbrodni, ale ukryta nienawiść do przejawiającego się w potwornej ich formie ślepego, nacjonalistycznego ruchu wśród Ukraińców. Równocześnie wzywa się ich do przechodzenia na stronę sowiecką, obiecując wzamian pełne przebaczenie win. Jest to zatym amnestia dla zbrodni.

Po przeczytaniu tych wszystkich nonsensów czytelnik zadaje sobie pytanie: w jakim celu te rzeczy są ogłaszane drukiem w języku polskim? Któż mógłby liczyć na jaką taką skuteczność tego rodzaju agitacji wśród Polaków? Można powiedzieć tylko jedno, że agitacja ta daje swym kierownikom niewątpliwe świadectwo już nie indolencji umysłowej, ale poprostu głupoty i barbarzyństwa.

SYTUACJA NA ZIEMIACH WSCHODNICH

W chwili, kiedy oddajemy niniejszy numer do druku — 8 lipca — wojska sowieckie po raz wtóry przekroczyły granice Ziem Północno - Wschodnich Rzeczypospolitej, znajdując się w odległości kilkunastu kilometrów od Wilna. Wypadki rozwijają się z taką szybkością, że niepodobna określić, jaka będzie sytuacja na tym terenie, gdy numer ten dojdzie do rąk czytelników. Bez względu jednak na zachodzące z każdą niemal godziną zmiany, zamieszczamy przegląd wypadków oraz szkicowy rzut oka na stan walk, cierpień i pracy społeczeństwa polskiego Ziem Północno-Wschodnich, znanych nam w chwili opracowywania tego numeru. Być może, już wkrótce zawarty tu przegląd wydarzeń wraz z ich konsekwencjami — przestanie być aktualny. Zawsze jednak będzie posiadał znaczenie, dokumentując postępowanie niemieckiego okupanta i pozostających na jego usługach mniejszości narodowych na tym terenie.

WILEŃSZCZYZNA I NOWOGRÓDCZYZNA

Wilno — twierdza. W początkach maja Gebietskomisarz Wilna Hingst oświadczył, że Wilno na specjalny rozkaz Hitlera będzie bronione do ostatka. Rozpoczęto wówczas roboty fortyfikacyjne w rejonie miasta. Posunięto się do zamknięcia wszystkich fabryk, nie wyłączając tych, które pracowały dla wojska — celem uzyskania odpowiedniej liczby robotników.

Obecnie prace ustały. Administracja i policja litewska uciekły w nocy z 2 na 3 lipca na wieść o zbliżaniu się bolszewików, rezygnując z obrony! Robotnicy porzucili pracę, Gebietskomisariat uciekł a plany fortyfikacyjne zostały tylko... na papierze.

Bombardowania Wilna. Dn. 20 i 21 czerwca oraz w nocy z 3 na 4 lipca miały miejsce bombardowania miasta przez eskadry bolszewickie. Zniszczono szczególnie okolice hal targowych, trochę ucierpiało śródmieście. Ilość ofiar nie duża.

Terror okupanta. W przededniu ucieczki z miasta wileńskie Gestapo rozstrzelało na Ponarach nieustaloną dotąd ilość więźniów oraz ostatki Żydów. Wszyscy pozostali więźniowie po ucieczce straży więziennej zostali wypuszczeni na wolność po wyłamaniu bram więziennych przez nasze oddziały.

Postawa społeczeństwa polskiego. Na skutek zbliżania się ofensywy bolszewickiej dotychczasowi współokupanci Litwini masowo uciekli na Litwę. Nie został w Wilnie nikt z całego policyjno-administracyjnego aparatu litewskiego. Niemieckie władze cywilne również zbiegły.

Opiekę nad miastem objęły oddziały tzw. Polskiej Straży Obywatelskiej. Społeczeństwo polskie nie poddało się panice. Wpływ na to wywarła świadomość jednolitości działań niepodległościowych na Ziemi Wileńskiej. Konwent Stronnictw Politycznych pracuje tu w pełnej harmonii. Również stosunek dowództwa A. K. i podporządkowanych mu brygad partyzanckich do kierownictwa i podległych mu komórek władzy cywilnej — jest bez zarzutu. Podkreślić należy, że całe społeczeństwo polskie w stosunku do jakichkolwiek projektów współpracy z Niemcami zajmowało stanowisko całkowicie negatywne. Konwent Stronnictw Politycznych uchwałą z dn. 22 maja potępił wszelkie akcje pojednawcze, ustosunkowując się negatywnie nawet do sprawy projektu zorganizowania przez okupantów gimnazjum polskiego w Wilnie.

Polska akcja wojskowa. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wzrosło poważnie znaczenie polskiej partyzantki. Tak Niemcy jak i Litwini zmuszeni byli liczyć się z siłą oddziałów polskich. To też poczynając od kwietnia stan ostrego pogotowia zaczynał się tuż za przedmieściami Wilna. Nie zapobiegało to jednak rozszerzaniu się zasięgu terenowego oddziałów partyzanckich, które stale wzrastały liczbowo przede wszystkim dzięki licznemu napływowi młodzieży wiejskiej. Wśród ważniejszych akcji, przeprowadzonych w ciągu maja należy wymienić:

4.V. jedna z kompanii Plechavicziusa wkroczyła do Pawłowa (koło Turgiel) i wymordowała kilkanaście osób spośród ludności polskiej, nie szczędząc starców i kobiet. Na kompanię tę uderzył jeden pluton polski, odrzucając ją i rozpraszając, przy czym poległo około 20 Litwinów. Wzięto do niewoli około 15-tu, z których 4 rozstrzelano w wyniku przeprowadzonego dochodzenia.

8.V. rozbita została jedna z kompanii litewskich w okolicy Graużyszek. Litwini dokonywali tutaj również zbrodniczych mordów na ludności polskiej. W starciu padło 38 Litwinów a 24 wzięto do niewoli 6 z pośród nich rozstrzelano. W tymże dniu rozbite zostały 2 kompanie litewskie w rejonie Olkienik.

13.V. rozbito cały batalion litewski w Murowanej Oszmianie, 40 Litwinów zabitych, przeszło 400 wzięto do niewoli.

W starciach z Litwinami oddziały polskie stosują zasadę zabierania broni i mundurów, zwalniania zaś jeńców, z wyjątkiem oczywiście wypadków stawiania przez nich oporu wzgl. bestialskiego odnoszenia się do ludności. W takich razach działa sąd polowy.

Rezultatem tej akcji było zapobieżenie terroryzowaniu i niszczeniu elementu polskiego przez Litwinów oraz oczyszczenie w znacznym stopniu terenów Wileńszczyzny z grasujących tam band, będących plagą miejscowej ludności.

W Nowogródczyźnie oddziały partyzantki polskiej przeprowadziły w ciągu maja kilkanaście akcji bojowych przeciwko formacjom niemieckim: 15.V. koło stacji Różana kompania partyzancka uderzyła na oddział niemiecki, zmuszając go do odwrotu, przy czym zdobyto 3 rkm, 20 kb. Nieprzyjaciel stracił 32 zabitych i 21 rannych. W nocy z 18 na 19.V. jeden baon zajął przejściowo miasto Ejszyszki po pokonaniu garnizonu niemieckiego. W nocy z 20 na 21.V. opanowano miasto Raduń, zdobywając szturmem bunkry i koszary żandarmerii niemieckiej; załoga w sile 14 ludzi poddała się; zdobyto 3 ckm.

Należy zaznaczyć, że biskup Reynis zasuspendował kapelanów polskich, niosących posługę religijną w polskich oddziałach partyzanckich.

Likwidacja „armii" Plechavicziusa. Oddziały Plechavicziusa, których zadaniem miało być zwalczanie bandytyzmu, dywersji sowieckiej i partyzantki polskiej, w rzeczywistości unikały z reguły starć z bandami czy też dywersją sowiecką, stosując jedynie terror wobec ludności polskiej. W zetknięciu się z partyzantką polską stale ponosiły porażki. Wyprawy ich kończyły się zazwyczaj rozbrojeniem i powrotem w bieliźnie do domu, co stało się już przedmiotem drwin nawet ze strony protektorów — Niemców. To też w początkach maja władze niemieckie, przekonawszy się o nieudolności tych oddziałów, a poza tym stwierdziwszy kontakt pewnych czynników z ruchem podziemnym litewskim, zaproponowały Plechavicziusowi wysłanie jego „armii" — do Francji. Plechaviczius się temu przeciwstawił, wobec czego w dniach 15 — 17 maja dokonano rozbrojenia jego oddziałów. „Armia" nie stawiała żadnego oporu a sam generał wraz ze swymi oficerami sztabowymi został aresztowany. Obecnie Niemcy przeprowadzają reorganizację pozostałych i rozbrojonych oddziałów, wcielając je do formacji SS bądź do batalionów litewskich pełniących służbę policyjną na Białejrusi.

Archiwum Wileńskie. Sprawa archiwów wileńskich, wywiezionych przez bolszewików do Mińska, została już częściowo załatwiona. Archiwum państwowe już zostało przywiezione do Wilna. W Mińsku pozostaje jeszcze Archiwum Radziwiłłowskie z Nieświeża. Prawdopodobnie jednak czasowo będzie przewiezione do Wilna razem z archiwum szlachty mińskiej.

Potworny mord litewski. W nocy z 20 na 21 czerwca na terenie majątku państwowego Glinciszki, własność pp. Jeleńskich w gminie podbrzeskiej pow. wileńskotrockiego, patrol polskiej partyzantki dokonał konfiskaty paszy dla koni. W drodze powrotnej spotkał oddział litewski, patrolujący szosy. Doszło do starcia, w wyniku którego dwu Litwinów zostało zabitych i kilku rannych. Nasz oddział bez strat wycofał się do lasu. W odpowiedzi na to, stacjonujący w miasteczku Podbrzezie, oddział litewski służby SS, złożony z większości z b. żołnierzy armii Plechavicziusa, w sile ponad 100 ludzi wtargnął do majątku i wyrżnął w pień około 30 rodzin polskich, t. zn. całą ludność Glinciszek. Kobiety i dzieci zostały pozakłuwane bagnetami w czasie snu w łóżkach.

MAŁOPOLSKA WSCHODNIA

Sytuacja wojenna. W działaniach wojennych na terenie Małopolski Wschodniej trwa w dalszym ciągu zastój. Drobne kilkukilometrowe przesunięcia miały w ciągu ostatnich dwu miesięcy miejsce tylko w powiecie kołomyjskim, złoczowskim i brzeżańskim. Niektóre miasta jak np. Brody są pod stałym obstrzałem artylerii.

Kilkunastokilometrowy pas przyfrontowy został przez wojska niemieckie w sposób brutalny i bezwzględny ewakuowany; podobnemu losowi jak dawniej Brody i Tarnopol uległ Buczacz, którego ludność z ręcznym tylko bagażem wyrzucona została z miasta i odstawiona do obozów, a reszta mienia mieszkańców została zrabowana przez żołdactwo niemieckie.

Ruch wojsk niemieckich w Małopolsce Wschodniej ustał niemal zupełnie; trwające od pewnego czasu przesuwania SS armii pancernej generała Modela z tego terenu zostało z końcem czerwca ukończone. Trwa natomiast nieustanne fortyfikowanie przez Niemców całego pasa przyfrontowego, do czego używana jest ludność miejscowa jak i ściągnięta z innych okolic Małopolski Wschodniej.

Bombardowania. Teren Małopolski Wschodniej, znajdujący się jeszcze pod okupacją niemiecką przeżywa nieustannia silne bombardowania lotnictwa sowieckiego, a ostatnio również lotnictwa amerykańskiego, startującego z baz w Rosji. Sam Lwów bombardowany był jeszcze w pierwszych dniach maja, lecz straty, jakie poniosło miasto w dziedzinie budynków, dóbr kulturalnych, jak również w ludziach były znaczne. Szczególnie uporczywie bombardowany jest Stanisławów. Poza innymi miejscowościami Małopolski Wschodniej, z których wiele przeżyło jedno albo kilkakrotne bombardowanie, na specjalną wzmiankę zasługuje bardzo precyzyjnie przeprowadzone bombardowanie Drohobycza przez lotnictwo amerykańskie; nalot trwał zaledwie trzy minuty, jednak 80% budynków tamtejszej rafinerii nafty „Polmin" legło w gruzach; niestety, straty wśród ludności cywilnej, szczególnie wśród zatrudnionych w rafinerii Polaków, były znaczne, bo nalot pociągnął za sobą około 300 ofiar zabitych i conajmniej 200 rannych.

Branka. Jednym z najcięższych przeżyć ludności Małopolski Wschodniej w ciągu

ubiegłych dwu miesięcy była przeprowadzana intensywnie przez Niemców branka ludności do robót, związanych z potrzebami wojska, a — jeśli chodzi o Ukraińców — nawet bezpośrednio do wojska.

Po wsiach, na wschód od Lwowa, branka przeprowadzana jest już od dłuższego czasu w sposób bezwzględny i brutalny; poprostu żandarmeria i wojsko niemieckie otacza wsie, spędza mężczyzn na określony plac i następnie zdatnych do pracy i do służby wojskowej wywozi samochodami do obozów, w których odbywa się właściwa segregacja.

W miastach — być może bardziej liczą się z opinią — Niemcy tego rodzaju łapanek do niedawna nie przeprowadzali, lecz usiłowali analogicznej akcji nadać pewne pozory dobrowolności.

Rozpoczęto od Lwowa; 10 czerwca miejscowy Stadthauptmann Höller opublikował „odezwę", w której wzywa wszystkich mężczyzn roczników 1909 — 1930 do „ochrony Waszej ojczyzny... przy boku niemieckiego żołnierza... czy to z bronią czy z łopatą w ręku". Odezwa, poza frazesami, które miały wskazywać na pewne cechy dobrowolnego zaciągu, kończyła się jednak słowami: „Kto uchyla się od rejestracji, jest zdrajcą swej ojczyzny i zostanie ukarany według prawa wojennego".

W dniu rozpoczęcia rejestracji 19 czerwca, zmodyfikował nieco Höller swoją pierwszą odezwę i w drugiej, którą wówczas opublikował, zaznaczył już dobrowolny zaciąg, a poza tym oświadczył, że Polacy nie będą powoływani do służby z bronią w ręku.

Warto wspomnieć o incydencie jaki się wydarzył w międzyczasie; w przeddzień rozpoczęcia rejestracji na pierwszych odezwach Höllera ukazały się zupełnie formalnie i urzędowo wyglądające ogłoszenia, zredagowane w trzech językach, że ze względów technicznych pobór zostaje na czas nieograniczony wstrzymany. Jak się po tym okazało, było to dyrewsją, dokonaną przez polskie czynniki podziemne i dodatkowe ogłoszenia przez cały dzień zdzierała następnie policja ukraińska.

Sama rejestracja i pobór nie miała we Lwowie specjalnie zbyt groźnego przebiegu. Niemcy wyraźnie zbyt słabo panowali nad sytuacją i w rezultacie zgłaszali się do rejestracji, jeśli chodzi o Polaków, niemal sami ułomni, albo ludzie z góry zapewnieni o możliwości ich wyreklamowania z poboru; ostatecznie pobrano zaledwie 10% zgłaszających się. Ukraińców zabrano więcej.

Podobne zarządzenia, jak we Lwowie, ukazały się z końcem czerwca również i w innych prowincjonalnych miastach Małopolski Wschodniej, co jednak nie przeszkodziło Niemcom w zastosowaniu tam zwykłej u nich metody łapanek; w Kamionce Strumiłowej i Brzeżanach przeprowadzono akcję w sposób zupełnie analogiczny jak uprzednio po wsiach t. zn. spędzono przy pomocy wojska i policji złapanych mężczyzn na jedno miejsce i stąd wywieziono zdatnych do pracy.

Reakcja czynników polskich. Polskie czynniki miarodajne w Małopolsce Wschodniej zareagowały natychmiast na to nowe bezprawie, dokonane przez okupanta niemieckiego. Już w dniu 13 czerwca została opublikowana we Lwowie odezwa Delegata Okręgowego Rządu Polskiego na Ziemie Południowo-Wschodnie, w której stwierdzono:

„Zarządzenie to jest jaskrawym pogwałceniem prawa międzynarodowego, zabraniającego kategorycznie okupantowi szafowania krwią i pracą ludności okupowanego terytorium na rzecz armii nieprzyjacielskiej. Potępiając to nowe bezprawie okupanta i protestując przeciwko niemu w obliczu całego świata, wzywam równocześnie obywateli Rzeczypospolitej do uchylania się od zarządzonej branki.

„Powyższe zarządzenie niemieckie jest nowym ogniwem w długim łańcuchu zbrodni, popełnianych przez Niemców od pięciu prawie lat na ziemiach Rzeczypospolitej, a tragiczny los ludności żydowskiej wskazuje, że brak zdecydowanego oporu społeczeństwa od pierwszej chwili wszelkich „rejestracji" rozzuchwala okupanta i ośmiela go do dalszych eksterminacyjnych akcji. Nie wolno popełnić tego samego błędu i dlatego wszelkimi sposobami i z całą energią należy przeciwstawić się niemieckiej akcji poborowej i wywozowej"...

Kilka dni później odezwę na ten sam temat wydało Kierownictwo Walki Podziemnej we Lwowie, kategorycznie zabraniającą rejestrowania się i wskazującą sposoby jak należy postępować.

Mobilizacja Ukraińców. Postępowanie okupanta niemieckiego na terenie Małopolski Wschodniej cechowało, szczególnie w czerwcu, wytężenie wszelkich wysiłków w kierunku wciągnięcia jaknajwiększej ilości tamtejszych Ukraińców do szeregów swojego wojska. Rozwinięto szeroką propagandę, a równocześnie zastosowano wielką różnorodność w sposobach wcielania

Oczywiście, jaknajwiększy nacisk położyła niemiecka propaganda przy współudziale swych ukraińskich popleczników w kierunku nasilenia poboru do SS-Schützendivision-Galizien. Jak się okazuje, wszystkie oddziały szkoleniowe tej ukraińskiej formacji na służbie niemieckiej rozrzucone początkowo niemal po wszystkich krajach okupowanych, skoncentrowane zostały stosunkowo

niedawno w jednym wielkim obozie przeszkoleniowym w Neuhammer pod Wrocławiem. Przeszkolenie pierwszej dywizji ukraińskiej, która wśród partyjnych formacji hitlerowskich SS otrzymała numerację „14", zostało już ukończone. Obecnie mówi się o formowaniu dalszych dywizji, do których w przyspieszonym tempie ściąga się rekrutów, a które mają otrzymać nazwy pochodzące od Lwowa, Podkarpacia, Wołynia, „Kałyny" i t. p.

Nie ograniczają się jednak Niemcy do poboru Ukraińców do samych tylko SS-Schützendivision-Galizien, lecz starają się przeprowadzać to jaknajbardziej wielopłaszczyznowo, aby umożliwić sobie pobór Ukraińców różnego wieku i różnych kwalifikacji. Tak więc równolegle z poborem do ukraińskich formacji SS, prowadzi się rekrutację Ukraińców bezpośrednio do szeregów niemieckiego Wehrmachtu, do Werkschutzu, jak wreszcie rozpoczęto od kilku miesięcy pobór najmłodszych roczników ukraińskich od lat 15 do 20 do szeregów „Junaków SS".

Ukraińska Hitler-Jugend. Ten ostatni pobór zasługuje o tyle na uwagę, że wskazuje jak głęboko ideologia hitlerowska sięga w społeczeństwo ukraińskie. Młodzi Ukraińcy, zgłaszający się, lub pobrani w szeregi tych „Junaków SS", przechodzą specjalne przeszkolenie razem z młodzieżą niemiecką i młodymi Volksdeutschami, gdzie wpajane są w nich wszystkie zasady reżimu. Młodzi hitlerowcy ukraińscy pojawili się już we Lwowie, ubrani w mundury kroju Hitler-Jugend koloru stalowego z żółto-niebieskimi opaskami na ramieniu i pełnić mają służbę pomocniczą w obronie przeciwlotniczej.

Zaprzysiężenie pierwszego oddziału ukraińskich „Junaków SS", liczącego 250 chłopców, odbyło się 22 czerwca bardzo uroczyście przy udziale niemieckich dygnitarzy z Wächterem i Bisanzem, oraz przedstawicielami Ukraińskiego Centralnego Komitetu z zastępcą Kubijowycza Pankiwskim na czele, który wyraził swoją radość, że „...młodzież ukraińska będzie mogła stanąć do walki na równi z młodzieżą niemiecką"...

Zbrodnie ukraińskie. Mordy, dokonywane przez bandy ukraińskie na bezbronnej ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej trwają od pół roku nieustannie. Jeżeli w ciągu czerwca na niektórych terenach Małopolski Wschodniej nasilenie tej zbrodniczej akcji hitlerowców ukraińskich nieco osłabło, to przyczyną tego jest jedynie to, że ludność polska, wobec straszliwego terroru tereny te już niemal doszczętnie opuściła.

Niepodobna wymienić wszystkich morderstw, okrucieństw, podpaleń, napadów, dokonanych przez rozwydrzoną czerń za podszeptem niemieckim i ich popleczników spod znaku O. U. N. czy U. P. A. Niema dnia od wielu miesięcy, aby nie lała się gdzieś krew polska, nie płonęły polskie zagrody, aby nóż, siekiera lub drąg w ich rękach nie pełniły strasznego dzieła zniszczenia.

Rezultaty są wprost tragiczne. Powiaty żółkiewski, rawski, jaworowski, radziechowski, sokalski, kamionecki, brodzki, przemyślański, złoczowski i bóbrecki są już niemal doszczętnie ogołocone z ludności polskiej; kto nie padł na posterunku, musiał uchodzić dalej na tereny bezpieczniejsze. Nie wolno nam przy tym zapominać, że w powiatach tych przed wojną było przeciętnie około 40% ludności polskiej, a więc, że są to tereny, które były jedną z najważniejszych ostoi w Małopolsce Wschodniej.

W drugiej połowie czerwca, jak wspomnieliśmy, na terenach wymienionych powiatów dochodziło już tylko do sporadycznych wypadków mordów, jednak pożoga zaczęła się przenosić na dalsze tereny stosunkowo dotychczas spokojne. Donoszą o rzeziach w powiatach rudeckim, rawskim, gródeckim, samborskim, turczańskim, mościckim, a więc powiatach, w których dotychczas zbrodnicza akcja niemiecko-ukraińska nie przybierała większych rozmiarów i gdzie ludność polska bytowała stosunkowo spokojnie.

Podkreślić należy, że jedyną ochroną ludności polskiej jest organizowana przez nią samoobrona; w tych, stosunkowo niestety nielicznych ośrodkach, gdzie działa polska samoobrona lub polska partyzantka, duch Polaków jest mocny, a bandy ukraińskie, nastawione wyłącznie na łatwe „zwycięstwa" unikają zbliżania się.

Ręka niemiecka za kulisami zbrodni ukraińskich. Jawność współpracy Niemców z bandami U. P. A. jest czasem wprost cyniczna. Stwierdzenie tego można znaleźć nawet w oficjalnych wydawanych przez niemiecki Propagandaamt we Lwowie w języku ukraińskim „Lwiwskich Wistiach". Zamieszczają one liczne reportaże z działalności SS-Schützendivision-Galizien, nie ukrywając w nich zupełnie współpracy tych sformowanych przez Niemców i pozostających pod niemieckim dowództwem jednostek z hajdamackimi bandami U. P. A. Z reportaży tych dowiadujemy się, że oddziały ukraińskiej dywizji SS „...nawiązały kontakt

z partyzantami ukraińskimi...", że te oddziały „partyzanckie" zniszczyły „wroga w takiej i takiej miejscowości, że zniszczyły „bandytów" i t. p., a tym „wrogiem" i „bandytami" jest nikt inny jak bezbronna ludność polska, niszczona bestialsko przez zgodną spółkę niemiecko-ukraińską.

Rządy Sowietów na naszych Ziemiach Wschodnich. Dochodzące wiadomości z Ziem Wschodnich, znajdujących się już obecnie od dłuższego czasu pod drugą okupacją sowiecką, pozwalają na wytworzenie sobie dość jasnego obrazu na temat położenia ludności na tym obszarze.

W miastach już prawie wszystkie sklepy zostały znacjonalizowane i zmienione na państwowe spółdzielnie, przy czym kierownictwo tych placówek spoczywa w rękach wszystkich wchodzących w grę narodowości, a więc bądź Rosjan, bądź Żydów, bądź Ukraińców, jak również w pewnym stopniu Polaków. Kolektywizacji wsi na ogół na naszych terenach jeszcze nie przeprowadzono, chociaż próby są w tym kierunku już podejmowane.

Do dnia 1 czerwca kursowała pod okupacją sowiecką wszystkie będące w obiegu waluty, a więc marki niemieckie, złote i ruble sowieckie; rubel sowiecki równał się 5 złotym lub 5 markom, a więc marka niemiecka została silnie zdewaluowana w stosunku do złotego. Od 1 czerwca wyłącznym środkiem płatniczym jest już tylko waluta sowiecka.

Stanowiska w administracji, zarządach miejskich i gminnych objęli naogół ludzie, pełniący te funkcje przed czerwcem 1941 r., jednak wśród nowo wprowadzonych funkcjonariuszy znajduje się dość dużo Polaków i to nawet w miejscowościach, gdzie procent Polaków jest stosunkowo nieznaczny. W wielu miejscowościach przystąpiono już do otwierania szkół.

Pod względem aprowizacyjnym sytuacja ludności jest naogół bardzo ciężka, ponieważ wojska sowieckie masowo żywność wykupują, a niezależnie od tego żołnierze, czy poszczególne oddziały na własną rękę dokonują rekwizycji.

W stosunku do ludności polskiej władze sowieckie starają się pozornie okazywać życzliwość ze względu na prowadzoną mobilizację Polaków do oddziałów berlingowskich. Kurs w stosunku do Ukraińców jest naogół ostrzejszy. Na ogół władze sowieckie potępiają zbrodnie, dokonywane przez bandy ukraińskie w stosunku do ludności polskiej i w sporadycznych wypadkach sprawców ich karzą; odpowiedzialność zbiorowa, na wzór niemiecki, nie jest stosowana.

Niewątpliwie najbardziej ważkie ma znaczenie sprawa poboru obywateli polskich do wojska sowieckiego. Dziś już z całą pewnością stwierdzić można, że mobilizacja na naszych Ziemiach Wschodnich, znajdujących się pod drugą okupacją sowiecką, jest przeprowadzana. Polacy są z reguły wcielani do formacji Berlinga. Początkowo zabranych do wojska przewożono do Kijowa, skąd ich dopiero kierowano do obozów szkoleniowych — obecnie pobór odbywa się już na miejscu. Ukraińcy wcielani są bezpośrednio do szeregów czerwonej armii.

Oficjalne potwierdzenie prowadzonej mobilizacji znajdujemy na łamach pisma, wydawanego przez władze sowieckie na naszych Ziemiach Wschodnich, zatytułowanego „Honor i Ojczyzna". Zamieszczono tam oświadczenie prof. Oskara Lange, złożone przedstawicielowi agencji Associated Press. Wymienia on formacje polskie, walczące po stronie sowieckiej i stwierdza między innymi: Liczyła ona (armia Berlinga) w chwili mego pobytu ponad 80 tysięcy ludzi, z tym że liczba ta rośnie nieustannie **w związku z mobilizacją Polaków na terenach wyzwolonych przez armię czerwoną.**

OSTATNIE WIADOMOŚCI

W dn. 6 lipca sytuacja w Wilnie wyglądała następująco:

Po ucieczce wszelkich władz cywilnych z miasta niemieckie władze wojskowe wydały do ludności miasta odezwę wzywającą do zachowania spokoju wobec nadchodzących wypadków wojennych i podporządkowania się zarządzeniom wojska. Odezwa po raz pierwszy od czasów okupacji niemieckiej wydana była wyłącznie w języku niemieckim jako urzędowym i polskim jako języku miejscowej ludności.

Równocześnie Delegat Rządu w Wilnie wydał odezwę do ludności wzywającą do posłuszeństwa wobec zarządzeń polskich władz podziemnych, nakazując spokój, niepoddawanie się panice oraz wezwał do życzliwego zachowania się wobec mających wkrótce wkroczyć oddziałów armii sowieckiej i unikanie wszelkich aktów, które mogłyby być rozumiane jako wrogie.

Rzuca się w oczy fatalny stan psychiczny wojsk niemieckich w Wilnie. Brak jakiejkolwiek wiary w zwycięstwo jest absolutny i nie ukrywany wobec mijanej ludności.

OFIARY

Dla uczczenia imienin p. Piotra na Fundusz im. Generała Władysława Sikorskiego „Naród Ziemiom Granicznym" — zł. 1.000.